ROZMAITOŚCI.

Dnia 19. Lutego Nr. 8. Roku 1842.

OBRAZ ZŁOWIESZCZY.

»Przez sześć godzin byliśmy ciągle w pochodzie«, opowiada pewien wiary-godny oficer, »spieszyliśmy zająć jedno z piérwszych miast włoskich. Nakoniec stanęliśmy u celu. Major, który sobie bardzo wygodnie na swym bułanku przed batalijonem stępo jechał, kazał nam stanąć. Wykonaliśmy jego rozkaz przed *Osterią* przy gościńcu. Ustawiono karabiny w piramidy, rozwiązano mantelzaki, tornistry, powyjmowano mundury od parady. Nie minęła chwila, a już cały batalijon stanął świéżo jakby z igły. Szczęściem, że *Osteria* była dobrze zaopatrzona. Kto miał pieniądze, kazał dla siebie i swoich towarzyszy dawać, co miała. Nie długo trwało a już znowu wszystko popakowano i uprzątniono. Dano znak do marszu. Pięknie ustrojona banda pułkowa stanęła na czele; wesoło i z dobrą miną ruszyło wojsko ku miastu, w którém się nie najlepszego spodziéwaliśmy przyjęcia.

Zbliżyliśmy się do piérwszych domów na przedmieściu. Dla okazania zebranéj w dali masie ludu, że się go bynajmniéj nie obawiamy, choćby o nieprzyjacielskim odporze zamyślał, zagrało cztérdziestu hoboistów naszych, z zwykłym sobie ogniem, wojennego marsza. Ale czegośmy nieraz już po innych miastach doznali, to samo i tu się stało. Zamiast niesfornéj wrzawy *a basso!* wydali mieszkańcy za nadejściem naszém, okrzyk wesoły: »*Bravi Tedeschi!*« Cały tłum ludu zwrócił się w prawo i był nam strażą przednią. Przy radosnych okrzykach śród różno-barwnego szpaleru spokojnéj gawiedzi, szliśmy przez główne ulice. Marsowe twarze nasze podbijały sobie serca mężczyzn i niewiast; piérwszym, podobała się tak dalece wojownicza postawa nasza, iż defilując słyszeliśmy wyraźnie ich pochwały; drugie, wiejąc chustkami z przyozdobionych okien i balkonów, dawały nam znak widoczny swego zadowolenia. — Ustawiliśmy się na *Piazza grande*. Właśnie było południe. Nad głowami naszémi sklepił się strop błękitnego nieba; złociste promienie słońca, łamiąc się o jasne bagnety nasze, odstrzéliwały gwieździstym blaskiem. Uderzono w bębny na modlitwę, muzyka wszczęła wzniosłe: *Preghiera*. Cała ludność podając się strumieniom uroczystéj harmonii, zachowała poważne milczenie. Dano rozkaz postawić broń do nogi. Z usłużną gorliwością zbliżył się podesta razem z swymi podrzędnymi do naszego majora, oznajmując mu, że się zajmie rozłożeniem żołniérzy po kwatérach. Duch mieszkańców w ogóle zdawał się być najprzyjaźniejszy; bez obawy rozeszli się żołniérze.

I ja udałem się za żwawym, czarno zarastającym, małego wzrostu człowiekiem, który prowadząc mnie z największą uniżonością, prawił mi mnóstwo wieskich grzeczności, zmierzających do tego: iż poczytuje sobie za największe szczęście mieć w swoim domu tak walecznego oficera. Odpowiadając mu nawzajem grzecznościami, szedłem za nim do jego pomieszkania.

* * *

Dom podobny do pałacu, przyjął mnie w swoje ściany. Towarzysz mój u progu gmachu, do którego wewnętrza wiodły piękne marmurowe wschody, przedstawił się mi teraz jako jego dzierżawca. Właściciel, margrabia z starożytnéj familii, wyjechał był już od dawna w za-morskie kraje.

»Uważaj się *Signore* tutaj jak w swoim własnym domu«, rzekł do mnie czystém narzeczem swego kraju; »oddaję mu pod wolne rozrządzenie cały front tego domu, to jest: wszystkie pokoje, sale i gabinety. Na tylnéj stronie mieszkam sam z moimi domownikami, a że od czasu mego owdowienia, prowadzę życie bardzo samotne, byłoby mi bardzo miło, gdybyś *Signore* niekiedy na tylną stronę, do mnie zbłąkać się raczył. Wierzaj mi, że my bardzo sprzyjamy walecznym oficerom niemieckim; nieboszczka żona moja, była dla nich z wielkiém poważaniem; duch wojenny, że tak powiém, zakorzenił się w tym domu!«

Na to zniewalające oświadczenie, odpowiedziałem z obojętnością, jaka mimowolnie owładnie każdego, kto przez sześć godzin zostając ciągle w pochodzie, ma przed sobą jeden tylko cel zawsze, a który się mu do dopięcia trudnym być zdaje. Kazałem więc oprowadzić się po gmachu i obrałem najdogodniejszy pokój dla siebie i dla mego służącego. Gospodarz mój radził mi sprowadzić się do obszérnéj, spaniałéj, różnémi obrazami przyozdobionéj sali, oznajmując oraz, że hrabiowie, książęta, jenerałowie i prałaci nieraz już gospodą w niéj stawali. Nie byłem nigdy miłośnikiem wielkich komnat; będąc Niemcem, przyzwyczaiłem się z młodu do małych a schludnych pokoików. Przytém z wysokich okien wielkiéj sali, widzieć było można wyraźnie wszystko, coby się tylko wewnątrz naprzeciw stojącego domu, dziać mogło, co dla mnie, mówiąc prawdę, odraźném było; gdyż nie chciałem ani do nikogo zaglądać, ani téż, aby do mnie zaglądano. Przytém spodziéwałem się, iż w tak obszérnym gmachu znajdę przecież jaki przyległy pokoik, który mnie od tego nieprzyjemnego *vis-à-vis* wybawi, i że będę miał wolny widok na jaki plac otwarty. Jakoż w saméj rzeczy zdawało się mi, że w obiciu jednéj ściany, postrzegłem drzwi poboczne.

»Nié ma że tu jeszcze jakiego pokoiku?« zapytałem gospodarza, którego twarz na to zapytanie szczególniejszą minę przybrała, i mocno się zmieniła, gdym dla otworzenia, zasuwkę pocisnął.

»O, i owszem«, odrzekł tenże, niby wymawiając się, »ale jestto mały, ciasny pokoik.«

»Témci lepiéj, ja lubię małe izdebki; a gdzież wychodzi okno?«

»Na ogrody i cmentarz *Santa Croce*.«

»Więcto bardzo romantycznie! Proszę mi ten pokoik pokazać.«

To rzekłszy, otworzyłem drzwi w ścianie i wszedłem do przyjemnego pokoiku, który właśnie dla żołnierza był najdogodniejszy. Naprzeciw okna stało łóżko, nad niém wisiał obraz, na który z początku bynajmniéj nie zważałem; byłem bowiem tego mniemania, że ujrzę bardzo zwyczajne malowidło: albo w rażących kolorach wybuch Etny albo Wezuwijusza albo przedmiot innych cudów natury, jakie we Włoszech bardzo często w pokojach widzieć można. Okno otaczała blado-zielona winorośla, przez któréj liście widać było w dali, żarzącém południowém słońcem rozjaśnioną okolicę, pośrodku któréj na wzgórzu roztaczał się cmentarz.

»Tu pozostanę!« rzekłem do gospodarza, który na te słowa okazał śmiészne zdziwienie.

»W téj ciupie?« odrzekł z niedowierzaniem, »gdy ja ci *Signore* pięć książęcych pokoi do wyboru daję? Sala, przez którą tutaj się wchodzi...?«

»Będzie właśnie dogodna dla mego służącego, a podczas słoty wygodném nawet miejscem do egzecérki dla mojéj kompanii.«

»Ale *Signor* oficer—nie wiész!«

»Czegożto nie wiém?—Ja wiém, że mi się tu podoba—i na tém koniec!«

»Ale——«

»Bardzo sobie wypraszam wszelkie ale! Jestem kontent z téj stancyi, a wpan możesz sobie bezpiecznie swoje książęce sale bądź jenerałom, bądź prałatom odnająć!—Spodziéwam się przecie, że po téj komnacie upiory nie chodzą?«

»Upiory jak upiory, ale ja mógłbym ci *Signore* opowiedzieć wypadki, które jeszcze są gorsze od upiorów. Jesteś *Signore* młodym, przystojnym oficerem, słowem wyznam, że mi cię żal *Signore!*«

Te słowa wyrzekł gospodarz z taką miną, iż nie można było z pewnością wiedzieć, czy w nich obawa, czyli téż ironija się zawiérała.

Udając, że niby zwracam rozmowę na inny przedmiot, spojrzałem na obraz nad łóżkiem, i chcąc mu przypatrzyć się z bliska, zapytałem, jaki przedmiot przedstawia?

»Ach, *San Benedetto!*« odrzekł gospodarz, ciągnąc mnie wstecz od obrazu, »nie patrz nań *Signore*—jestto ptak nieszczęścia!«

Z zadziwieniem spojrzałem w twarz mieniącego się gospodarza, którego złowieszczy ptak, mnie tém bardziéj śmiésznym się wydawał, że nie wiedziałem, coby miał tak straszliwego oznaczać.

Uchyliwszy od siebie wstrzymujące mię ramię jego, przystąpiłem bliżéj do łóżka, nad którém obraz wisiał, a gospodarz mój zasłoniwszy sobie twarz dłonią, zawołał z przestrachem: »Ach już po nim!«

Stanąłem zdziwiony. W starych, złotych ramach, na których cienka pozłota już swój blask straciła i niby kroplami krwi zbryzganą być się zdawała, ujrzałem osobliwsze malowidło, jakiego w życiu mojém nie widziałem. Powszechnie są znane przebrzydłe dziwotwory i plugawe sceny czarownic pędzla Breughela; ale ten obraz przewyższał je nieporównanie, tak w chimerycznym wymyśle przedmiotu, jak i dziwaczném ułożeniu wszystkich jego części. Miał on około trzy stóp wysokości, a dwadzieścia kilka cali szérokości; przedstawiał rozjadłego, bajecznego gryfa z rozpostartémi skrzydłami, zakrzywionémi szpony i krwawo rozwartym dzióbem. Ale każdy członek jego składał się z najszkaradniejszych, fantastycznych postaci. W kłęby zwite, robactwo, w kształt winogrona poczepiane larwy, z przegniłych ciał ludzkich tułowy, z trupich głów wieńce; słowem, co tylko wstręt,

odrazę, obrzydliwość i oburzenie wzbudzić może, z tego wszystkiego uwiła tu jakaś szatańska jenijalność przeraźliwą całość, i tak umnieżo na tę szkaradę rzuciła oświetlenie, że obraz ten, z któregokolwiek punktu na oko wzięty, jednakowe sprawiał przerażenie! Patrząc nań, rzekłbyś, że jest najzłośliwszą, najohydniejszą satyrą, jaką tylko najprzemyślniejszy nieprzyjaciel ludzkości na wyszydzenie oblicza człowieczeństwa, utworzyć zdołał. — Z początku z obrzydzeniem, lecz wkrótce z wzmagającą się uwagą, przypatrywałem się temu obrazowi.

»Czy nie sprzedałbyś wpan tego obrazu?« zapytałem gospodarza, poglądającego na mnie w milczeniu.

»Czybym nie sprzedał?« odpowiedział tenże, usiłując mnie od obrazu odciągnąć, »ach, jabym go sprzedał najchętniéj; ale wyraźnym, ostro zastrzeżonym warunkiem w moim kontrakcie jestem obowiązany to czartowskie dzieło zachować! — Dla tego wybiérz sobie *Signore* inną stancyję! Gdyż oświadczam, że w tym pokoju nieszczęście mieszka! Mógłbym ci *Signore* opowiedzieć wypadki, okropne wypadki...!«

»Opowiész mi je wpan inną razą!« odrzekłem znudzony mową i nierozsądkiem trwożliwego przestrzegacza. »Na ten raz proszę, jeżeli mu to nie sprawi przykrości, abyś dla mnie ten gabinet a dla mego służącego tę przyległą salę uprzątnął!«

Témi słowy usunąłem wszelkie dalsze sprzeciwianie się, chociaż zaprzeczyć nie mogę, żem się nie mógł zbyć wrażenia, jakie ten złowieszczy ptak na umyśle moim sprawił.

* * *

Gospodarz mój dotrzymał słowa, za co mu teraz bardzo obowiązany jestem. Opowiadał mi nadmienione wypadki podczas stołu, do którego mię z wielkiém naleganiem zaprosił; jakoż w saméj rzeczy, były one jedyną przyprawą obiadu, który podług włoskich zwyczajów może był bardzo smaczny i wytworny, ale dla mnie, jako Niemca nieprzyzwyczajonego do tłustéj *polenty*, oliwą przesiąkłych karczochów i konfitur z ziarn arbuzowych, nie bardzo był zachęcający.

Zaraz przy piérwszym obiedzie opowiedział mi obszérnie całą jenealogiję złowieszczego ptaka, jak dalece ją tylko pamięcią mógł zasięgnąć.

Do właściciela domu, margrabiego C**, który był wielki dziwak, a bynajmniéj Niemcom nie sprzyjał, jak się *Sior Moscito*, mój gospodarz wyraził, przyszła pewnego dnia z-rana z rozpuszczonémi włosy niewiasta. *Sior Moscito*, podówczas nadzorca domu, był właśnie w pokoju, gdy ta nieszczęśliwa niosąc coś zawiniętego, upadła do nóg margrabiemu. Ten zdziwiony, zapytał, czegoby żądała — a niewiasta nie podnosząc się z ziemi, odpowiedziała z płaczem: »Czy słyszysz *Signore*?«

Nastąpiło głębokie milczenie.

Wtém przez otwarte okno dał się słyszéć smutny głos dzwonu.

»Czy słyszysz *Signore*?« zawołała powtórnie niewiasta z płaczem. »Biada mi! dzwon ten oznajmia, że mego męża już na śmierć prowadzą!«

Margrabia wzruszony jéj nieszczęściem, przyrzekł pomoc. Śród jęków i narzekań zaczęła opowiadać, że mąż jéj był sławnym malarzem, że dla jednego majętnego Niemca odmalował portret niewiasty, który mu doskonale się powiódł. Niemiec jednakże nie zadowolony jego robotą, nazwał go lichym partaczem, a mąż jéj uniesiony dumą artysty, w zapędzie gniewu, uderzył go tak mocno ramami w czoło, że padł nieżywy na ziemię. Teraz go na śmierć prowadzą. Opuszczona, od wszystkich wzgardzona, nié ma już żadnego sposobu do życia, ani nawet tyle na podróż, aby mogła do swoich rodziców powrócić. Obraz, który przyniosła, jest jedyną puścizną; jestto obraz piekielny, krwią i potem śmiertelnym w więzieniu malowany.

Tym obrazem był ten ptak złowieszczy; jestto może alegoryja okropnych widziadeł, jakie się nieszczęśliwemu więźniowi w samotnych nocach, na wilgotnych ścianach, jego więzienia okazywały.

Margrabia zapłacił za ten obraz żonie delinkwenta znaczną kwotę, z któréj po opędzeniu wydatków podróży, jeszcze mały zasob na przyszłość dla niéj pozostał.

Być może, iż do obudzenia téj spaniałomyślności w surowym margrabi, przyczyniło się także to przekonanie, że nienawistny cudzoziemiec padł z ręki malarza.

* * *

Ale na tym okropnym wywodzie, któryby już sam jeden był dostatecznym do wypędzenia mnie z mego odosobnionego gabinetu, jeszcze się nie skończyło. Gospodarz mój bądź tajemniczą miną, bądź litośnym wzruszeniem ramion, bądź zapytywaniem i przerywaną mową, umiał zwolna tak wielką obudzić we mnie ciekawość i do takiego ją przywieść stopnia, iż do zaspokojenia jéj, potrzeba było w saméj rzeczy niezmordowanéj jego gadatliwości. Dla uderzenia na moję dobrze obwarowaną fantazyję, używał on stosownie do swego planu, najczęściéj dni niedzielnych, podczas których zawsze mnie na obiad zapraszał.

Musiałem się prawie śmiać z niego, gdy mnie z trwożliwą troskliwością zapytał, czy mi się

jeszcze w jego domu podoba, czy zostaję w zgodzie z złowieszczym ptakiem i czy mi się co złego nie śniło; a gdym mu odpowiedział, że zupełnie kontent jestem, zaczął z niedowierzaniem wstrząsać głową.

»Oby cię *Signore* niebo miało w swojéj świętéj opiece! Oby cię ochroniło i zachowało od tego niebezpiecznego ptaka, który na kogo tylko swojém szyjącém okiem spojrzy, nikomu szczęścia nie przynosi! Nie jestto urojenie ani zabobon;—gdyż mam na to dowody!«

Gdym go zapewnił, że w téj mierze jestem zupełnie obojętny, opowiedział mi wypadek następujący:

»Piérwszego roku będąc dzierzawcą tego domu, odnająłem był po dobréj cenie prawie wszystkie pokoje, prócz rzeczonego gabinetu z salą przyległą; jednego dnia przychodzi do mnie młody, blady na twarzy człowiek, mający długie blond włosy i pyta mnie, czyby w tym domu nie mógł mieć jakiéj skrytéj, odosobnionéj izdebki? Zatrudnienie jego jest takiego rodzaju, iżby się łatwo mógł sąsiadom naprzykrzyć; oświadczył, że jest muzykiem, dla tego nie żąda, jak tylko swobodnego kącika, w którymby bez narażenia się drugim, swéj sztuce mógł się poświęcić.

Osobliwszego tego gościa zaprowadziłem do gabinetu nie zwracając bynajmniéj jego uwagi na złowieszczego ptaka, który wtedy na to nazwisko jeszcze sobie nie był zasłużył. Młody człowiek ten ujrzawszy obraz, wstrząsł się jak piorunem rażony, i zapewnił mnie, że w tym obrazie znalazł podobieństwo do pewnego portretu i że te rysy, które tu zobaczył, są skinieniem przeznaczenia jego. W jakim to wszystko zostawało związku, dopiéro późniéj się dowiedziałem. Nie mogłem sobie wytłumaczyć zachowania się czynszownika mojego, gdyż z początku anim przeczuwał, jakie utrapienia duszę jego dręczyły.

W naszém mieście żył podówczas pewien *maestro,* który równie słynął przez swoje opery, jak i przez swoje dziwactwa. Byłto człowiek niziutki, namiętny, gęstych faworytów i brwi krzaczystych; miał on córkę, o któréj świat utrzymywał, że jest piękniejszą i przyjemniejszą, niż wszystkie *andantina* i *laryhetto,* które jéj ojciec w całém swojém życiu wydał.

Dziéwczyna ta była właśnie w kwiecie najpiękniejszéj wiosny, gdy młody, mający blond włosy człowiek, który się późniéj do mnie sprowadził, przybył do naszego miasta. Nie wiém jaki był stan jego. Zdawał się mi być jednym z tych podróżujących Niemców, którzy w kraju naszym zamiast tego, czego szukali, nieraz co innego znaleźli. Tak też i on w łagodniejszym naszym klimacie, szukał zapewne pokrzepienia zdrowia, a właśnie u nas najniebezpieczniéj zachorował, ile że choroby serca, najtrudniejsze są do wyléczenia. Zakochał się on zapamiętale w córce rzeczonego kapelmistrza; i wyszukiwał wszelkich, jakie tylko być mogą, sposobów, by się dać poznać i przypodobać jéj ojcu. Z tém wszystkiém stary *maestro* największy *pedant* w świecie, nie cenił nic, jak tylko muzykę, lub też może udawał, że nic więcéj nie cenił, aby tém łatwiéj za najbieglejszego muzyka uchodził. Słowem, oświadczył on biédnemu niemieckiemu blondynowi bez ogródki, że nie wyda swéj córki jak tylko za wirtuoza, i że prędzéj wszystkie swoje partytury w piec rzuci, niż raz od powziętego zamiaru odstąpi.

W takim przypadku biédny Niemiec nie wiedział jak sobie poradzić. Zamiast wybić sobie z głowy dziéwczynę, któréj ręka połączona była z niepodobnym do osiągnienia warunkiem, wpadł na myśl najnieszczęśliwszą w świecie; zrobił niezachwiane postanowienie zostać wirtuozem, kupił za znaczną kwotę stare skrzypce, wyszukał sobie odosobnione pomieszkanie i uparł się, w przeciągu jednego roku, sławą wirtuoza zdziwić nasze miasto.

Około tego czasu pojawił się w moim domu i sprowadził do tego gabinetu. Z razu myślałem, że blady blondyn obłąkanie zmysłów ciérpi. Godzinami stał on przed tym osobliwszym obrazem, i przegrywał mu nieustannie jeden i tenże sam *pasaż*; poczém wlepiał osłupiały wzrok w to diabelskie malowidło, jak gdyby na niém pochwalny uśmiéch chciał wymusić. Lecz złowrogi koczkodan był niezbłagany, i natrząsał się nielitościwie z jęczącego i potem zlanego skrzypiciela, ile razy w czasie swojéj nauki, ciche przestanki, monologami zapełniał. Nieraz z obawy, aby pomieszania zmysłów nie dostał, przypatrywałem się mu przez szczelinę u drzwi. Czyniłem to więcéj przez staranność o jego zdrowie, niż z ciekawości. Nie chcąc przeszkadzać swoim sąsiadom nieustannym piskiem, zamykał się w kominie, i przesiadując w nim każdego razu do północy, męczył się nad urobieniem pasażu tak niemiłosiernie, że sowy nie mogąc znieść już przeraźliwego, jednotonnego skrzypienia, uciekały z wrzaskiem z komina i szukały sobie spokojniejszéj siedziby. Okropnie było słyszeć, jak ten poczciwy człowiek męczył się bezowocnie i bez najmniejszego skutku! Wszystko co grał, przeszywało uszy każdego, ktokolwiek miał choć trochę dobrego słuchu; jego zaś ucho, na akordy niebiańskiéj muzyki głuche i nieczułe, znajdywało w niesfornym stron pisku, najprzyjemniejszą melodyję! Tak od dnia

do dnia w niepojetém omamieniu, że coraz gra doskonaléj, oddawał się słodkiéj nadziei, że w krótkim czasie nadejdzie ta szczęśliwa chwila, w któréj przed surowym ojcem swojéj ubóstwionéj kochanki, śmiało jako wirtuoz wystąpić może.

Z niedowierzaniem i szyderskim uśmiéchem przyjął dumny *maestro* biédnego skrzypka, który sie mu po upływie roku dla popisania się swoim talentem i osiągnienia w nagrodę ręki swojéj kochanki, powtórnie przedstawił. By ocenić godnie talent nowego wirtuoza, nad którym już dla tego, że był cudzoziemcem, ramionami wzruszano, zebrał się liczny poczet wielbicieli starego *maestra*. Cały ten akt uroczysty, zdawał się raczéj być wyrachowany na krotochwilę, jaką kapelmistrz swym przyjaciołom z krzywdą biédnego Niemca, wyprawić zamyślił. Dziéwczyna zachowała się przytém dosyć obojętnie, gdyż na przypadek nieuznania nieśmiałego blondyna za wirtuoza, wiedziała o tém dobrze, iż wkrótce innych dziesięciu, również namiętnych zalotników, o jéj rękę dobijać się będzie.

Uroczysta chwila popisu nadeszła, a biédny wirtuoz bez powołania, otrzymał zupełne *fiasko!* Jednogłośny wyrok nagany wydano na jego prawie nadludzką pracę; ten wyrok był dla niego tém boleśniejszy, że go w tonie najuszczypliwszéj ironii publicznie usłyszał. »*Bravissimo!*« rzekł z szatańskim uśmiéchem *maestro* do omdlałego na pół koncercisty. »Jako mieszkaniec krajów północnych, masz *Signore* nadzwyczajne zdolności. Znam ja starego bakałarza w pobliskiéj wiosce, który jest wielki gracz na skrzypcach;—jeżeli sobie życzysz, polecę mu, aby się zajął twojém wykształceniem w tym kunszcie. Przy nieustannéj pilności, możesz za rok lub za dwa przywieść do tego, że cię za mojém wstawieniem się przyjmą do sekundu w jakiéj orkiestrze. Co zaś do miłostek, te musisz całkiem wybić sobie z głowy; oneby tylko rozrywały umysł w nauce, a ty *Signore* potrzebujesz całéj swéj głowy, jeżeli skrzypcom chcesz przynieść zaszczyt. Oblubienica taka, jak moja córka, byłaby ci przeszkodą w twoim świetnym zawodzie, a zatém, oblubienicą twoją niech będą—skrzypce!«

Nieszczęśliwy wirtuoz tknięty do żywego szyderstwem, pozbawiony wszelkiéj nadziei, wyleciał bez zmysłów z sali, a przybiegłszy do domu, uderzył z rozpaczy skrzypcami o łóżko, nad którém jeszcze po-dziś dzień, ten złowieszczy ptak wisi.

Biédny młodzieniec puścił się w zawód, który nie był dla niego! Gdyby mu np. który z ojców był powiedział: »Zięć mój musi być koniecznie lékarzem, prawnikiem, albo kupcem, zapalony kochanek, byłby gorliwością swoją przywiódł do tego, iżby po roku, mógł był wystąpić i wyrzec: »Patrz ojcze, oto jeszcze nie jestem zupełnie tém, czego po mnie wymagasz, ale daję ci już teraz dowód, że mam w sobie ku temu zdolności!« I zaręczam, iżby dopiął swego zamiaru; byłto bowiem młodzieniec rozumny, pracowity i wytrwały. Ale nieszczęście chciało, że trafił na szaleńca, który po nim wymagał tego, czego sobie przymusem w żaden sposób dać nie możem, skorośmy już tego z urodzenia w bezpośredni zaczątek nie wzięli, a to właśnie zatruwało mu życie! Człowiek ten czując się być zdolnym do nauczenia się wszystkiego, co tylko jaka umiejętność za cel sobie zakłada, sądził, że jest także zdolnym do rozwiązania zadania, które sobie umnicza sztuka za cel stawi. W tém omamieniu, tak dalece stracił miarę swych usiłowań, iż podług pracy, sądził o skutku, a nieobeznany z żywiołem, z którym walczył, mniemał, że już dla tego samego wysoki szczyt w kunszcie osiągnął, że w pocie czoła nad nim pracował! Nawet smutna klęska, poniesiona podczas popisu, kiedy mu dostatecznie odkrył *maestro* cały swój sposób myślenia, nie przekonała go jeszcze o płonném jego usiłowaniu. Klęskę tę nie przypisywał on swéj nieudolności, lecz poczytał ją za upośledzenie, za krzywdę i uwłoczenie prawdziwéj zdolności. Do bolesnego uczucia, że mu się nie powiodło pozyskać rękę dziéwczyny, która serca jego niegodną była, przyłączyła się urażona duma artysty, i oburzenie na niesprawiedliwość. Ponury smutek owładnął jego duszę. Uniesiony zapalczywością pochwycił jeszcze raz skrzypce, i konwulsyjnie drżącą ręką wydobył z niéj najprzeraźliwsze tony, jakie się nigdy jeszcze o ściany włoskiego domu nie obiły!—Osłupiałym wzrokiem jak zwykle wpatrzył się i teraz w piekielny obraz, który właśnie księżyc bladém światłem rozjaśnił. Zdawało się biédnemu skrzypkowi, że ptak złowieszczy bije skrzydłami, że do podrzeźnienia dziób swój wykrzywiła, że głowa jego do głowy *maestra* zupełnie podobna!

»Szydzisz ze mnie, koczkodanie!« wrzasnął z wściekłością, »poczekaj, powieszę ja na tobie zasłonę, aby już odtąd szatańska larwa twoja, żadnego cudzoziemca wszelkiego szczęścia nie pozbawiała!«

To rzekłszy w dzikiéj zaciekłości, zerwał nawiązanie ze skrzypców, i tak niémi silnie uderzył o ścianę, iż się na kawałki rozlatując, ostatni raz zajęczały; nie tracąc czasu, ukręcił ze stron sznurek, na którym nazajutrz ujrzano ciało jego jako szkaradną zasłonę, wiszącą przed tym przeklętym obrazem, który do ostatecznego

przywiódł go szaleństwa! — Rzecz naturalna, że wieść o tym wypadku rozeszła się po całém mieście. Z przerażeniem doniosłem margrabiemu C. memu pryncypałowi o tym nieszczęsnym wypadku, prosząc go oraz, aby dom swój na przyszłość od takiego nieszczęścia ochronił, i złowieszczy obraz ten, lub gdzie indziéj umieścić lub sprzedać pozwolił. Lecz odebrałem lakoniczną odpowiedź: »że obraz ten na mocy zastrzeżonego w kontrakcie warunku, na swojém miejscu ma pozostać.«

Historyja ta, którą mi gospodarz mój piérwszéj zaraz niedzieli podczas obiadu dał na wety, była za wiele niedorzeczna, aby mnie niepokoić miała. Powróciwszy do mojego pokoiku, zasnąłem na piękne, nie troszcząc się bynajmniéj, że złowieszczy ptak nad mojém łóżkiem wisiał.

* * *

Następnéj niedzieli otrzymałem w upominku drugi wypadek o tym złowieszczym ptaku.

»Długo nie mógłem«, rzekł *Sior Moscito*, »znaleźć mieszkańca na ten osławiony pokoik, co większa, nawet do innych pokoi, które były piękne i po taniéj puszczone cenie, rzadko się kto nadarzał.«

Nareszcie pojawił się jakiś człowiek już w wieku, którego powierzchowność zdawała się być zaniedbaną. Ubiór jego oznaczał ubóstwo, postawę miał pochyloną a wzrok niespokojny. Szukał on u mnie podobnież osobnéj izdebki, w któréjby się, jak sam mówił, bez przeszkody naukom mógł oddawać. Przemówił do mnie po niemiecku, a gdy mu po włosku oznajmiłem, że tylko moim ojczystym i francuzkim językiem się wyrażam, zaczął mówić témi oboma językami na przemiany z taką łatwością, iż każdy z nich zdawał się być jego macierzystym.

Pokazałem mu nadmienioną izdebkę, którą był zupełnie zadowolony. Upatrywał w niéj dla siebie wszelką dogodność, a gdym na ten obraz zwrócił jego uwagę, oznajmując mu, że mam sobie za powinność uwiadomić go o wydarzonym wypadku, przymrużywszy oczy roześmiał się i rzekł: »To mi bynajmniéj nie zaszkodzi! Powziąłem ja wprawdzie przywiązanie ku pewnéj dziéwczynie, ale wiém z pewnością, że ojciec jéj nie pogardzi bynajmniéj zięciem, który o jéj rękę szczérze dobijać się będzie. Staram się o miłość jéj Bogu dzięka, już od lat trzydziestu; umiém już siedm języków, a wkrótce spodziéwam się, że jeszcze więcéj językami będę umiał składać jéj hołdy.«

Przypatrując się obrazowi z coraz większą uwagą, zapewnił mnie; że się mu nadzwyczaj podoba, że upatruje w nim jenijalną alegoryję wszechnéj mowy ludzkiéj. Prawda, że to, co mówił, było dla mnie prawie niezrozumiałe, wszelako utkwiło mi mocno w pamięci, bo nieraz starał się mi, toż samo wszelkiémi sposobami wyjaśnić. »Na tym obrazie«, rzekł, »wiją się i krzyżują dziwacznie krocie rozmaitych linij i floresów, a przecież formują jednę całość, która chociaż na piérwszy rzut oka do bajecznego ptaka jest podobna, jednakże, gdy się jéj bliżéj przypatrzymy, przybiéra człowieczy charakter. Takiż sam zachodzi stosunek między runami i hieroglifami, których człowiek używa, by myśli swoje w głos, a głos w znamiona pismienne zamienił. Znamiona te w tym obrazie formują dziwaczne płazy nieodgadnionych form i typów. A jednak to zawiłe, do ramion polipa podobne robactwo liter, przed okiem wtajemniczonego człowieka, zamienia się w olbrzymią postać owego Mamuta języków, którego członki jako pozostałki zamierzchłego piérwiastkowego świata, po krańcach ziemi są rozrzucone. Ja zgłębiłem i rozpoznałem dopiéro siedm kości tego olbrzymiego potworu, a najmniéj dziewięć set składają cały jego szkielet. Za każdém spojrzeniem na ten obraz, który jest najszczytniejszą alegoryją w swym rodzaju, przypominać sobie będę, co mi jeszcze zbadać pozostało!«

Po téj fantastycznéj mowie, poznałem, że czynszownik mój jest badaczem języków.

Skoro piérwszy świt dnia zabrzasnął, widziałem go już, jak oparty u okna, w ogromnych folijałach wartował. Czas przedpołudniowy spędzał w naszych drukarniach, z których jedna, przeszło dwadzieścia alfabetów tak żyjących jak i nieżyjących języków liczyła; potém zagrzébywał się po biblijotekach miejskich z takim zapałem, że go zwykle aż biblijotekarz przy odejściu, od czytania przemocą odrywać musiał.

Co do mnie, nie doznałem żadnéj przykrości od tego cichego i skromnego badacza języków. W towarzystwie był miły, uprzejmy, a nawet gadatliwy, co się u ludzi tego rodzaju, rzadko zdarza. Nienasycona żądza docieczenia wszystkiego, co się tyczy języków, była głównym zarysem jego charakteru, a chociaż w pewnym względzie bardzo chwalebną, jednakże w zażyłości z nim, najbardziéj odrażająca. Trzeba było starannie wystrzégać się każdego słowa, który do mowy gminu należy, albo który w rozmowie rzadko jest używany, gdyż on podchwytywał każde podobne słówko, pytał o jego źródło, i obracał je tak długo w ustach, aż pokąd stałego znamienia do jego rodowodu nie znalazł. Uczoną tę zabawkę kończył zwykle głośną, i dla tak prostego człowieka, jakim ja jestem, nie bardzo zajmującą rekapitulacyją wyrazów,

jakiémi się tenże sam pomysł w siedmiu językach, z którémi był obeznany, również oznacza. — »Wpan zbyt wiele i za głęboko zatapiasz się w naukach«, przestrzegałem go nieraz; lecz on zawsze odpowiadał mi z uśmiéchem: »Ptak, który wisi nad mojém łóżkiem, ma jeszcze wiele piórek, które są mi nieznane. Nauka jest życiem, a życie nauką!« I tak przy bladym blasku lampy, przesiadywał zawsze do północy i wartował książki, albo téż obracając w ustach wyrazy i frazesy z rozmaitych języków, przechadzał się po pokoju; częstokroć zaś dla zebrania swoich myśli w jedno ognisko, zatapiał wzrok swój w tym złowieszczym ptaku. Obawiałem się w samėj rzeczy, aby od rozumu nie odszedł. Nieraz zdjęty najszczérszą obawą, przed udaniem się na spoczynek, zakradałem się pocichu do jego drzwi, i patrzyłem przez dziurkę od zamku, co téż się z nim dzieje. W czasie, gdym się bawił na operze i na piękny patrzył balet, lub orzeźwiając się lodami, spędził nie jedną chwilę w kawiarni na pogadance; etymolog mój zatapiał się w leksykach i gramatykach i dukwił jeszcze nad książkami, gdym ja dawno już w łóżku leżał. — Po trzech kwartałach w skutek zbytecznego natężenia umysłu, zachorował, jakem przewidział. Dojmujący ból głowy powalił go na łóżko. Lékarz, którego mimo jego woli przywołał, obawiał się, aby biédak nie dostał pomięszania zmysłów. W nieustannéj gorączce i zupełném wycieńczeniu wszystkich sił, patrzył osłupiałym wzrokiem na zawieszony nad łóżkiem obraz, którego na żaden sposób zdjąć nie dozwolił, utrzymując, że widok jego wielką mu ulgę czyni; rozprawiał dziwne rzeczy i tak gmatwał wszystkie języki, z którémi był obeznany, że lékarz nie umiejący jak tylko po włosku i po łacinie, nie mógł zrozumiéć, czego właściwie żąda. — Pamiętam bardzo dobrze słowa, które wyrzekł do mnie, gdym go dnia piętnastego podczas jego słabości odwidził. Lékarz zapowiedział, że w tym dniu nastąpi przesilenie choroby. Pacyjent podniósł się konwulsyjnie na łóżku, wlepił we mnie wzrok wytężony, i podawszy mi uroczyście wychudłą rękę, rzekł poważnie i uroczyście, a przytém tak wyraźnie, żem sobie dokładnie dotąd każde jego słowo spamiętał: »*Ich have honerem, euch esthai à vestra usted un dobro giorno!*« co, jak mi lékarz wytłumaczył, ma być mieszaniną wyrazów niemieckich, angielskich, łacińskich, greckich, hiszpańskich, francuzkich, sławiańskich i włoskich, i oznacza: »Mam zaszczyt życzyć wpanu dnia dobrego!« — Z przestrachem poznałem stan słabości jego, i ulegając koniecznéj potrzebie, zezwoliłem na zawiezienie go do szpitalu, gdzie w stanie zupełnego obłąkania, życia dokonał. — Byłato druga ofiara, którą złowieszczy ptak na wieczny spoczynek posłał. — Właściciel pałacu, któremu znowu doniosłem o tym wypadku z prośbą, aby pozwolił ten złowrogi obraz zdjąć ze ściany, odpisał mi powtórnie: »że rzeczony obraz na mocy kontraktu, ma pozostać na swojém miejscu, gdyż zaszłe nieszczęścia, nie ziomka, lecz tylko cudzoziemca spotkały.« — Historyją tą uraczył mnie gospodarz drugiéj niedzieli podczas obiadu. Słuchałem jéj z wielką spokojnością, chociaż wyznać muszę, że nieszczęście biednego etymologa, mocno mnie dotknęło!

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Stanisław Lubicz Jaszowski, spółpracownik »Redakcyi Gazety Lwowskiéj«, którego wiele utworów tak prozą jak i wierszem umieszczonych: w »*Pamiętniku Lwowskim*«, »*Pszczole*«, »*Rozmaitościach Lwowskich*« i w wielu innych pismach polskich, zjednały Mu imię zaszczytne, autor wydanych w osobnym zbiorze poezyj, jak i wielu historycznych powieści, tudzież *Sławianina* i *Dniestrzanki*; mąż prawego, łagodnego charakteru, wszystkim swoim znajomym miły, zostawiwszy w rękopismie niedokończoną pracę swoję: *Opis i żywoty znakomitych mężów miasta Lwowa za dawnych czasów*; rozstał się z tym światem dnia 12. lutego b. r., przeżywszy lat 39. Umarł zawcześnie dla literatury krajowéj, a śmierć Jego długo bolesną będzie dla tych, którzy Go z-bliska znali. *A...*

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 7 i obejmuje: 1) O użyciu i skutkach nawozu stajennego. 2) Jak wiele potrzeba trzymać na folwarku bydła, ażeby gospodarstwo dobrze prowadzić? (Dokończenie). 3) Odpowiedź na niektóre ze 112 pytań, piątemu zgromadzeniu niemieckich i lasowych gospodarzy, na posiedzeniach od 1go do 8go września 1841 w Doberanie, w Wielkiém księztwie Meklenburskiém, do rozwiązania przedłożonych. (Ciąg dalszy). 4) Wiadomości czasowe.

Ner 4. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Mały kapelusz. 2) Spotkanie, wiersz przez J. Wagilewicza. 3) Bałaguły, kilka rysów z życia dzisiejszego. 4) Myśl.

W drukarni Józefa Schnajdera, jest właśnie pod prasą dzieło: *Wyjątki z powtórnéj podróży do Włoch*, przez hrabię Antoniego Karśnickiego. Dochód z tego dzieła poświęcił szanowny autor na fundusz Zakładu Ochrony małych dzieci.

Nakładem księgarza Aug. E. Glucksberga, wyszedł w Warszawie zeszyt pierwszy dzieła pod tytułem: *Obraz historyi powszechnéj od najdawniejszych do najnowszych czasów.* — Tamże wyszedł *Kalendarzyk polityczny* na rok 1842.

Sławny z wynalazków matematyczno-mechanicznych Abraham Stern, członek byłego Towarzystwa król. Przyjaciół Nauk, członek prezydujący w komitecie cenzury ksiąg i pism hebrajskich, przeżywszy lat około 80, w Warszawie na dniu 3go lutego b. r. rozstał się z tym światem. Na dniu 4go lutego zwłoki jego na cmętarz starozakonnych odprowadzone zostały.

Amatorowie sceny ojczystej, dali w Gnieznie na dniu 10go lutego b. r. na dobroczynne cele przedstawienie teatralne, pod nazwą: *Zemsta*, komedyję w 4. odsłonach, napisaną przez Aleks. hr. Fredra.

Literatura polska w Berlinie. Z powodu założonéj katedry sławiańskiego języka i literatury przy uniwersytecie berlińskim, otworzono tamże biblijotekę polską do wypożyczania, która z księgarnią niemiecką (*Athenaeum* w Berlinie) jest połączona. Spodziewać się należy, że przy niemałéj liczbie polskich rodzin i oddających się umiejętnościom Polaków, usiłowanie to będzie równie świetnym uwieńczone skutkiem, jakim się chlubią biblijoteki francuzkie i angielskie tegoż rodzaju. Pomieniona księgarnia mająca w Poznaniu zakład książek, korzystając z téj okoliczności, ściśléj niż dotąd spoi literackie stosunki między Niemcami a Polską, przezco bliżéj z życiem Sławian spokrewniony Berlin stanie się ogniskiem dla literatury polskiéj. Tu z dala od politycznych namiętności, mogą daleko spokojniéj rozkrzewiać się i wzrastać nauki, niż w stolicy Francyi.

Plan Jerozolimy. Na zgromadzeniu towarzystwa kunsztu i umiejętności w Berlinie, była mowa o planie Jerozolimy, który w kształcie panorama w Paryżu ułożono, i który przedstawia to miasto tak, jak za czasów Zbawiciela wyglądać miało. Autor tego planu,

ksiądz André Dupuis, wykonał go z największą sumiennością i w sporym tomie w oktawce dodał potrzebne objaśnienia. Na dowód, z jaką dokładnością oznaczył miejscowość historyi świętej, przytaczamy, że nawet to miejsce jest wskazane, na którém Zbawiciel, gdy przed niego cudzołożnicę przyprowadzono, własnym palcem w piasku napisał: (*C'est ici que le Christ écrivit avec son doigt sur la terre.*)

Jules Janin. Wyszedłszy na czwarte piętro wysokiego, na placu Odeon w Paryżu położonego a zewnątrz wazonikami przyozdobionego domu, wnijdziesz do sali, któréj podsadkowaty właściciel osłaniając niedbale swoję tuszę szlafrokiem, na zapytanie, czy on jest Jules Janin? tak jest, odpowiada. Człowiek ten z czwartego piętra, obdarza sławą i zaszczytem śmiertelników, którzy u niego łaskę sobie zjednać umieją; panuje on nad intellektualnym światem i według upodobania może ludzi sławnymi uczynić lub w nicestwo wtrącić. Jemu składają hołdy autorowie i artyści; najpiękniejsze aktorki trudzą się aż na czwarte piętro — by od niego nie tak miłe spojrzenie, jak raczéj łaskawe wynurzenie zdania w pismach publicznych uzyskać. Artyści przynoszą mu z pokorą piérwiastki swego jenijuszu, autorowie ofiarują mu pięknie oprawny egzemplarz dzieł swoich. Muzyk poczytuje sobie za szczęście, gdy tego człowieka w szlafroku skłoni do znajdowania się na koncercie, który wyprawić zamyśla, aktorka zaś tylko wtedy wychodzi zadowolona, gdy od niego przyrzeczenie uzyska, że raczy być świadkiem piérwszego jéj wystąpienia na scenę. Z uniżonością uprasza księgarz, by mu wolno było pod zachwalającym prospektem lub pod zalecającym wstępem jakiego literackiego przedsięwzięcia, nazwisko pana Jules Janin położyć, a wydawca Encyklopedyi czyli zbioru literackiego, tryjumfuje, gdy mu Jules Janin na spisie spółpracowników, swe imię położyć pozwoli. Nawet panna Mars nie wahała się trudzić na czwarte piętro, a George Sand w piérwszém dziele swojém starała się pana Jules Janin przyzwolenie i względy sobie zapewnić. Tak skreślił dziennik *la Presse* wielką władzę feuilletonisty dziennika *Journal des Debats*. Jednakże skréśleniu temu nie możemy dawać zupełnéj wiary. Gdyby Jules Janin był tak potężnym, jak go powyższy dziennik opisuje, jużby był dawno waudewil zniszczył, na który ustawicznie powstaje; byłby Scribego pozbawił wszelkiéj literackiéj sławy, bo zawsze go przedrwiwał; atoli waudewill panuje tak jak przedtém, nietylko na scenach w Paryżu, ale nawet i w całym kraju francuzkim. Jules Janin wszystkiémi swémi feuilletonami tak mało zaszkodził Scribemu, że ten został jednym z najbogatszych autorów dramatycznych, a od czasu jak go Jules Janin poniżać zaczął, otrzymał tenże nawet krzesło w akademii francuzkiéj. Osoby, które o dziele dramatyczném, o aktorze lub książce, sądzą podług feuilletonu, być może, że się zgadzają z zdaniem p. Jules Janin, atoli większa część publiczności, a do tego ilość dzienników, a więc i krytyk teatralnych, jest zanadto wielka, aby jeden feuilletonista taki wpływ mógł wywierać. Z tém wszystkiém oryginalny styl pana Janin bardzo się wielu czytelnikom podoba, a feuilletony jego czytane są z upodobaniem. Jules Janin jestto człowiek wielkiego świata; aby był tak bogatym, jak Scribe, nie zdaje się być do tego przeznaczonym, ale tak jest czynny jak on, a lubo wypracowania jego są tylko feuilletonami, wszelako wymagają czasu i namysłu; a ponieważ on o bardzo wielu i rozmaitych rzeczach pisać umie, więc wnosić można, że ma wielką łatwość w stylizowaniu. Mniemano wprawdzie, że on, podobnie jak Scribe, podpisuje czasem wypracowania pochodzące nie od niego lecz od młodych autorów, którzy jego oryginalny sposób pisania sobie przyswoili. Być może, że Janin i Scribe czasem sobie pomagać każą, jednakże pomoc ta, podobna jest do pracy młodych i wprawionych malarzy, którym wielki mistrz w swym obrazie rękę, nogę lub stolik wymalować pozwoli.

Franko. Wiadomo każdemu, z jaką niechęcią opłacają cudzoziemcy, a mianowicie w Niemczech listy, które tylko do granicy frankowane posyłać można. Niedawno umarł bogaty człowiek w W. Adwokat zmarłego napisał natychmiast list z doniesieniem o śmierci do brata w Erfurcie. Atoli brat zmarłego napisawszy na kopercie: *franco!* odesłał list nie rozpieczętowany. Adwokat napisał powtórnie, i dodał na liście: »W naglej sprawie familijnéj téj osoby, do któréj ten list należy.« Brat zmarłego zaś napisał znowu na kopercie: *franco!* i list odesłał. Adwokat napisał list po raz trzeci, i oznajmił na kopercie: »Brat osoby, do któréj niniejszy list należy, umarł, zapisał jéj 20,000 złr. m. k.; listu tego frankować nie można, gdyż wszystkie listy tylko do granicy frankowane być mogą.« Brat zmarłego odsyła list po raz trzeci, bo nie chciał ośmiu czeskich zapłacić, i napisał na brzegu koperty: »Teraz wiem już, o co chodzi i sam przyjadę do W.« Za to, coby jeszcze w tym liście było, *franco!* Wypadek ten jest co do słowa prawdziwy, i pewnie nie piérwszy. Ileżto osób nie straciło na tém, że nie przyjęło listu przez skąpstwo zapłacenia kilku groszy!

Napad zbójców na szpital S. Bernarda. Dziennik *Phare du Leman* donosi: Na szpital leżący na górze św. Bernarda napadło niedawno czternastu rabusiów. Pobożni ojcowie bronili się odważnie, a nareszcie puścili na nich brytanów, których używają, jak wiadomo, do odszukania osób w zaspach śniegu. W walce téj zabili zbójcy kilka brytanów, jednakże pięciu z nich trupem poległo. Ale rozchodzi się oraz pogłoska, że także przeor i trzech służących tegoż instytutu, życie utraciło.

Rzemieślnicy w Chinach. Wiadomo, że malarze chińscy są bardzo wierni w kopijowaniu; oddają oni każdy punkcik oryginału, jak najdokładniéj. Atoli nietylko w malarstwie, lecz i w innych kunsztach i rękodziełach, są Chińczykowie nadzwyczaj sumiennymi naśladowcami. Dowodem tego jest wypadek następujący: Gdy okręt *Pitt* stał na kotwicy przed Kantonem, oficer z tegoż okrętu posłał umyślnego do jednego z krawców tamtejszych, by u niego z nankinu, téj sławnéj materyi chińskiéj, dwanaście par spodni zamówił. Krawiec zażądał wzoru, oświadczając, że bez modelu nigdy nie robi. Stosownie do tego życzenia, posłał mu oficer parę spodni, które właśnie na jedném kolanie łatkę miały. Krawiec na oznaczony czas przysłał mu dwanaście par zamówionych spodni; robota była przedziwna, można rzec misterna, ale cóż z tego, — każda para miała, jakby heraldyczne godło na jedném kolanie łatkę, która szew za szwem, z taką akuratnością była przekopijowana, iż mechaniczną wierność tę można było rzemieślnikowi za największy zaszczyt poczytać. Jakoż krawiec za to wierne odkopijowanie łatki, kazał sobie nawet osobno zapłacić, a oficer chcąc nie chcąc musiał dla artysty mieć uszanowanie i zapłaciwszy mu należytość, przesłał to dzieło sztuki chińsko-krawieckiéj jako osobliwość do Europy.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.